

ZŁOŻONOŚĆ PROBLEMATYKI CUDU

Ludzie, z małymi chyba tylko wyjątkami, odczuwają jakiś wewnętrzny głód nadzwyczajności, niezwykłości, sensacji. Wykorzystują to bardzo często środki masowego przekazu, karmiąc swych odbiorców mało wybredną strawą. Różnorodni dziennikarze czy sprawozdawcy nie wnikają bowiem na ogół w wewnętrzną treść danego wydarzenia, a ograniczają się jedynie do podawania jego czysto zewnętrznych, nie zweryfikowanych naleźycie, ale za to bardziej sensacyjnych szczegółów. Bywa więc tak, że wbrew oczywistej zgoła logice, za lepszego dziennikarza uchodzi ten, kto przekazuje błyskawicznie najnowsze i najbardziej sensacyjne wiadomości.

Ten głód sensacji nie jest też — co oczywiste — obcy życiu religijnemu człowieka. Wywołuje on jednak dalekie od pożądanых skutki i owoce. Ileż to razy sam Chrystus skarżył się na rzesze, obwiniając je o to, że idą za Nim dla znaków, jakie czyni, a nie wsłuchują się naleźycie w Jego słowo! Jakże mocno i gorzko brzmią Jego słowa: „Plemię przewrotne i wiarołomne żąda znaku...” (Mt 12, 39; 16, 4)! Znak — w całej ziemskiej misji Jezusa — ma potwierdzać Jego słowo, a nie odwrotnie, chociaż równoległą jego funkcją może być też naprowadzanie słuchaczy na to słowo i uwrażliwianie ich na nie. Jezus nie czyni cudów dla nich samych; nie chodzi Mu bowiem o rozgłos czy sensację. Znaki czy „dziwy”, jakich dokonuje, mają potwierdzać boski charakter Jego posłannictwa, uwierzytelniać Jego słowo. I tak się faktycznie dzieje, ale w wąskim na ogół wymiarze. Ewangelieści nie omieszkują odnotowywać faktu, że niemal po każdym z dokonanych przez Jezusa znaków „wielu” poszło za Nim i uwierzyło w Niego. Ale znajdowali się wciąż tacy, którzy — widząc to wszystko — nie wierzyli, nie byli po prostu w stanie uwierzyć. Zatrzymywali się niejako na progu sensacji; nie interesowały ich bowiem jej sens i treść. I tak bywa stale — po dzień dzisiejszy.

Kilka faktów

Ograniczając się wyłącznie do terenu Polski i do kilkadziesiątu lat ostatnich, można by wymienić wiele wydarzeń niezwykłych, sensacyjnych, które wywoływały żywiołowe i spontaniczne reakcje ludzi. Ograniczmy się do kilku bardziej znamiennych:

W kilka lat po drugiej wojnie światowej zauważono łyzy spływające z oczu Maryi na kopii Jej jasnogórskiego obrazu, znajdującej się w bocznym ołtarzu katedry lubelskiej. Matka Boska płacze! Zjawisko trwające przez dłuższy okres czasu zbulwersowało niemal całą Polskę. Pielgrzymowano do katedry lubelskiej masowo, a utrudnienia ze strony władzy świeckiej (przez jakiś czas pociągi nie dojeżdżały do samego Lublina) potęgowały jeszcze bardziej ruch pątniczy. Po dzień dzisiejszy obraz ten jest otoczony szczególną czcią wiernych.

W początkach lat sześćdziesiątych mówiono często (ale też faktycznie obserwowano) o zjawisku samorządnego odnawiania się wielu obrazów religijnych, które wyglądały jak nowe. Pokazywano mi takie właśnie obrazy, prosząc o wyjaśnienie faktu. Ale czym i jak można było go wyjaśnić?

W tym samym mniej więcej czasie, późną wiosną lub wczesnym latem zatrzymałem się na moment w Lublinie przy ul. Narutowicza, nieopodal kościoła św. Pawła, szukając jakiegoś adresu. Natychmiast zjawił się przy mnie milicjant i nakazał iść dalej. Spytałem dlaczego? Bo tu jest cud — brzmiała odpowiedź. Jaki cud? gdzie? — zapytałem. Tu, przy kościele — odpowiedział. A ponieważ nie mogłem zrozumieć, o co chodzi, wyjaśnił, że Matka Boska, a dokładniej figura (chyba betonowa) Matki Boskiej, znajdująca się na tzw. cmentarzu kościelnym, kiwa głową, albo nawet cała się porusza. Może więc coś dzieje się w ziemi, w fundamentach? — nalegałem, ale jego odpowiedź była jednoznaczna: to jest cud! Dopiero gdy ja, ksiądz, zapytałem: i pan jako przedstawiciel władzy ludowej (domyślnie: ateistycznej) w to wierzy? — po chwili namysłu i wahania odpowiedział: no nie, ale ludzie tak mówią. I faktycznie, gdy odchodziłem (bo nie wolno było tam się zatrzymywać!), słyszałem różnorodne głosy ludzkie, w których przewijało się od czasu do czasu słowo: cud. Ale na czym ten „cud” miał polegać? I czy same ruchy figury (o ile faktycznie się ona ruszała!?) można by już nazwać mianem cudu?

Wydarzenie to skojarzyło mi się z tym, co działo się w Warszawie (i w czym uczestniczyłem aż sześciokrotnie) w październiku 1959 r. Wieczorem w święto Matki Bożej Różańcowej jakaś kobieta zauważyła na szczycie wieży kościoła pod wezwaniem św. Augustyna coś w rodzaju mgły czy poświaty, co mogłoby przypominać zwiewną postać Niewiasty. Zjawisko było dostrzegalne gołym okiem, po zapadnięciu zmierzchu, aż do końca października włącznie. Wiadomość podawano sobie z ust do ust. Pojawiały się więc wieczorami przy kościele setki, tysiące, a potem i setki tysięcy ludzi. Przyjeżdżali z całej Polski, by oglądać cud! Władze miasta reagowały dosyć znamienne: około połowy mie-

siąca mówiono na ulicach, w tramwajach, że to, co ludzie obserwują na wieży, jest wynikiem reakcji chemicznych, zachodzących w blasze miedzianej, pokrywającej szczyt wieży; władze poleciły więc zamalować tę blachę jakąś farbą. Wieżę zamalowano, ale natychmiast pojawiło się o wiele więcej ludzi: mgielka (mglista postać?) była jakby trochę lepiej widoczna! Komentarze — w prasie (ale tylko w Warszawie: tej warszawskiej dla miasta Warszawy!), wśród ludzi — były różnorodne. Po kilku dniach, ponoć na życzenie czy rozkaz władz miejskich, pomalowano szczyt wieży na nowo: tym razem jakąś czarną sadzą (która pozostała zresztą na długo, chyba aż po dzień dzisiejszy). Miała ona zagłuszyć wszelkie „reakcje chemiczne”. Spowodowała jednak nowy napływ rzesz ludzkich. Można było jedynie iść w gęstym, ciasnym tłumie chodnikiem, a w kilka dni później całą szerokością ulicy, przed kościołem, a setki stojących jeden obok drugiego milicjantów wyznaczały kierunek marszu. Mglista postać (!?) na szczycie wieży była jeszcze bardziej wyrazista: ludzie dostrzegali nawet koronę z gwiazd dwunastu (które chwilami zapalały się i gasły) na głowie, a nawet coś w rodzaju rąk złożonych do modlitwy. Gdy ktoś z tłumu stwierdzał, że niczego nie widzi, padały słowa: idź, pan, do spowiedzi, to zobaczysz! Faktycznie, w kościele i na całym cmentarzu kościelnym w ustawionych prowizorycznie konfesjonalach ludzie spowiadali się przez całe noce aż do rana. W grudniu zaś lub na wiosnę następnego roku wiele spowiedzi zaczynało się słowami: „moja ostatnia spowiedź była wtedy, gdy był cud w Warszawie”. Pytałem raz i drugi milicjantów, zwłaszcza tych stojących najbliżej kościoła, czy coś widzą? Ich odpowiedzi bywały różne, najczęściej (przecież stali bardzo blisko siebie) zdawkowe. Zresztą za kościołem i w pobliskich zaułkach rozmieszczono wiele samochodów-więźniarek... Dnia 31 października wejścia na ul. Nowolipki (przy której znajduje się wspomniany kościół) były całkowicie zablokowane przez zwarte kordony milicji. Ludzie mogli jedynie z oddali (z tramwajów przejeżdżających bardzo wolno ul. Marchlewskiego) obserwować to niecodzienne „zjawisko”. I rzecz znamienne: z dniem 1 listopada „mgielka” zniknęła całkowicie i chyba bezpowrotnie, a wieczorami widoczny był wyraźnie na tle nieba cały szczyt wieży. Czym i jak to tłumaczyć? Były tutaj dotychczas tłumy ludzi, a teraz nagle wróciła cisza i spokój. Pojawiały się w październiku i potem odosobnione raczej głosy, że może wieża była sztucznie podświetlana; ale skąd? i przez kogo? — i że chodziło, być może, o skompromitowanie Kościoła, wierzących, którzy są aż tak łatwowierni, ale kto i kogo miałby kompromitować?

Godne uwagi w całym tym „wydarzeniu” było stanowisko

kard. Stefana Wyszyńskiego. Około połowy października wywieszono na drzwiach kościoła podpisane przez niego, oficjalne pismo takiej mniej więcej treści: Ksiądz proboszcz parafii św. Augustyna w Warszawie uważa, że zjawisko, jakie wierni obserwują na wieży kościoła, da się wytłumaczyć w sposób naturalny. W związku z tym uprasza się wiernych o niezakłócanie pracy duszpasterskiej w parafii. — I następował podpis Księdza Prymasa. Mówiono później na ulicach i w tłumie, że pismo to zostało zredagowane na życzenie władz świeckich. Faktem jest, iż raz czy drugi zatrzymano i osadzono w areszcie duchownych, którzy znaleźli się w tłumie pielgrzymów. W komisariacie tłumaczono im, iż zostali zatrzymani (zresztą na bardzo krótko) jedynie za to, że nie stosują się do zaleceń swej władzy (duchownej): mieli nie przeszkadzać, a przeszkadzają i zakłócają porządek swoją obecnością. Ale nie to jest tutaj, w tej całej sprawie istotne. Wypada bowiem zwrócić baczniejszą uwagę na samą wypowiedź Kardynała Wyszyńskiego: nie zajmuje on w niej żadnego stanowiska odnośnie do tego, co wielu (ogół?) uznało za cud; stwierdza jedynie (ale pytanie: na jakiej podstawie?), że proboszcz miejscowy uważa (czy rzeczywiście?) to zjawisko za wytłumaczalne w sposób naturalny (jak?); i dlatego zaleca — bardzo delikatnie i powściągliwie — umiar, na który w zaistniałej sytuacji nie można było faktycznie liczyć. Niczego nie przekreśla, ale też nie potwierdza: jakkolwiek sąd byłby z pewnością zbyt wczesny. Zniknięcie „zjawiska” w listopadzie zamknęło natomiast w pewnym sensie sprawę. Więcej już do niej nie wracano.

Nieco inaczej było ponoć w Lublinie, gdy „Matka Boska płakała”. O ile mi wiadomo, wobec wielkiego napływu ludzi, władze kościelne czuły się zmuszone zbadać dokładnie wydarzenie. Obraz płakał: widzieli to wszyscy. Ale skąd łzy (woda?) i dlaczego spływające z oczu? Wilgoć w kościele? Jakieś naczynie z wodą za obrazem? Niczego takiego nie stwierdzono! Wobec tego uzbierane „łzy” poddano różnym analizom chemicznym, itp. Ocena — jak mówiono — była jednoznaczna: są to zwykle łzy ludzkie. W tej sytuacji (wciąż się opieram na informacjach ustnych, podawanych mi przed laty) przekazano materiał dokumentacyjny do Rzymu — do Stolicy Apostolskiej. Cud nie został jednak uznany przez najwyższe władze kościelne z braku — jak mówiono — pewnych materiałów rzeczowych. Wydaje się, iż trudna sytuacja Kościoła w owych, stalinowskich czasach, uniemożliwiająca regularny kontakt z Rzymem, spowodowała ostatecznie takie, a nie inne orzeczenie Watykanu, które wywołało prawdziwy ból i rozgoryczenie u wielu. Chociaż jednak cud nie został oficjalnie uznany (a hierarchia Kościoła katolickiego w

Polsce, po uwięzieniu kard. S. Wyszyńskiego, miała zbyt wiele innych, bardzo poważnych spraw na głowie, by zajmować się jeszcze „wydarzeniem” lubelskim), wierni nie przestali ani na moment otaczać szczególną czcią ten „płaczący Obraz”.

O wydarzeniach bliższych nam czasowo, takich jak: drzewo rosnące w kształcie krzyża, drzewo ociekające krwią (co ludzie utrwalali na zdjęciach przekazywanych sobie z rąk do rąk), wydarzenia związane z Oławą itp., lepiej chyba będzie wspomnieć jednym słowem, zaznaczając, iż postawa ludzi Kościoła jest na ogół taka: nie wykluczają oni możliwości zaistnienia faktu niezwyklego (zjawiska cudownego) w przeświadczeniu, iż nic nie stoi na przeszkodzie, by Bóg, który dokonywał w dziejach wielu rzeczy niezwykle, działał nadal w podobny sposób; nie spieszą jednak z wydawaniem zbyt pochopnych osądów, albowiem w wielu dziełach Bożych dochodzi nieraz do głosu element czysto ludzki, wypaczający niejednokrotnie zamysł Boży; natomiast Bóg — o ile tylko taka jest Jego wola — potrafi zawsze doprowadzić zamierzone przez siebie dzieło do końca. Tak więc dopiero dalszy czy ostateczny efekt pozwala w końcu ocenić, czy było to faktycznie dzieło Boże (jak miało to np. miejsce w Lourdes, Fatimie, La Salette itp.). Jak jednak w takim konkretnym przypadku ma się zachować prosty, zwyczajny człowiek.

Dwa wydarzenia

Chcąc odpowiedzieć na powyższe i jemu podobne pytania, dobrze będzie przytoczyć dwa podobne, a jakże różne w swej treści fakty. Jeden z nich pochodzi z Francji, a jego głównym bohaterem jest znany laureat nagrody Nobla, dr Alexis Carrel; drugi zaś z rodzimej Polski i wiąże się z osobą znanego przyrodnika, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Fakt pierwszy opisał obszernie sam zainteresowany w książce zatytułowanej *Podróż do Lourdes*¹. Przedstawia tam siebie pod pseudonimem dra Lerraca, który jako młody lekarz, wychowany w duchu ateizmu pozytywistycznego, zdecydował się na podróż do Lourdes z pielgrzymką chorych po to, by „po uprzednim zbądaniu chorych, przekonać się osobiście, czy w rzeczywistości, jak to podawały opisy z Lourdes, zdarzały się tam wypadki istotnej poprawy na zdrowiu”². Mimo więc „niechęci, jaką napawała go myśl o takiej podróży w tłumie pielgrzymów, Ludwik Lerrac wy-

¹ Londyn 1954; pierwsze wyd. francuskie: Paris 1949.

² A. Carrel, *Podróż do Lourdes oraz fragmenty dziennika i rozmyślenia*, Londyn 1954, s. 46.

brał się do Lourdes biorąc ze sobą aparat fotograficzny, pudełko z farbami i notatnik. Uważał, że tylko w ten sposób będzie mógł zebrać potrzebne mu materiały dowodowe. Mając powierzonych sobie przeszło trzystu chorych, starał się przestudiować jak największą ilość wypadków, aby potem łatwiej zdać sobie sprawę z ewentualnego polepszenia w ich stanie”³.

Był to rok 1903. Uzdrowienia lurdzkie odbijały się już głośnym echem w ówczesnym świecie. Opisywali je lekarze⁴, obserwatorzy⁵, powieściopisarze⁶. Carrel stwierdza, że przed swą podróżą przeczytał „wszystko, co na ten temat pisał Henryk Lasserre, Didary, de Boissarie i Zola”, oraz dodaje: „a jednak nie przekonali mnie”⁷. Zastanowił go w sposób szczególny, opisywany przez nich przypadek Piotra de Rudder, który spadł z drzewa, złamał kość goleniową, która „nie chciała mu się zrosnąć przez osiem lat, aż nagle w ciągu pięciu minut został uleczony”. Wcześniej „w miejscu złamania utworzyła się ropiejąca rana, odsłaniając pękniętą kość. Noga tak zwisała bezwładnie, że można było stopę obrócić piętą do przodu”. I oto ten człowiek „pewnego dnia, kiedy jest sam z żoną, zanoszą błagania do Matki Boskiej z Lourdes, wstaje i stąpa zupełnie uzdrowiony”. Carrel uważa, że „byłby to prawdziwy cud, przed którym nawet ludzie niewierzący musieliby pochylić głowy jako przed przejawem czegoś nadprzyrodzonego — o ile oczywiście sam fakt był autentyczny”⁸. Sam nie ma jeszcze wyrobionego zdania. Jego dawni profesorowie i wielu kolegów stoi na stanowisku, że „cud jest absurdem, cudów nie ma”⁹. A. Carrel zdaje się podzielać to zdanie, ale z pewnym wahaniem: „Że cud jest absurdem, to pewne. Gdyby jednak mógł być stwierdzony w warunkach dostatecznie konkretnych, by dawał pewność, że nie zachodzi żadna pomyłka, wówczas trzeba by dopuścić możliwość cudów. Żaden argument nie utrzyma się wobec rzeczywistych faktów. Fakty mają tak nieodpartą potęgę, że podpo-

³ Tamże, s. 63.

⁴ Np. dr de Boissarie, *Objawienie się i cuda w Lurd Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej*, Kraków 1904. Jest to wybór publikacji tegoż lekarza, kierującego Biurem Stwierdzeń Medycznych w Lourdes, zestawionych przez anonimowego redaktora, przetłumaczonych i wydanych także w Polsce.

⁵ Np. H. Lassere, *Bernadette, Soeur Marie-Bernard*, Paris 1879¹¹; tenże, *Notre Dame de Lourdes*, Paris (ok. r. 1869), tłum. polskie: *Niepokalana z Lurd, Niepokalanów* 1947 (1957²); tenże, *Les apparitions de Notre Dame de Lourdes*, Paris 1952.

⁶ Np. E. Zola, *Lourdes*, Warszawa 1962 (wyd. pierwsze francuskie z r. 1895, a pierwsze polskie z 1897 r.).

⁷ Dz. cyt., s. 72.

⁸ Tamże, s. 72—73.

⁹ Tamże, s. 75.

rządkowyywać się jej muszą systemy naukowe, filozoficzne i religijne. Odstępując natomiast od obserwacji metodycznej danych zjawisk, błądzi się we mgle niepewności i pomyłek”¹⁰. I jeszcze jedno jego rozumowanie: „Jeśli Bóg istnieje, cuda są możliwe. Ale czy, obiektywnie biorąc, Bóg naprawdę istnieje? Czy Matka Boska nie jest tylko tworem naszej wyobraźni? Jakże mam się o tym przekonać?”¹¹

Tak nastawiony A. Carrel wybiera spośród ponad trzystu chorych powierzonych swojej pieczy zwłaszcza jedną osobę: Marię Ferrand (prawdziwe nazwisko: Maria Bailly), która mając 18 lat zapadła na zapalenie opłucnej z wysiękami, a po jakimś czasie bezowocnego leczenia stwierdzono u niej ponadto zapalenie otrzewnej na tle gruźliczym. Chora miała być operowana, ale naczelny chirurg orzekł, że stan jej jest tak niebezpieczny, iż nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności za operację i że nie ma już dla niej żadnego ratunku. Maria błagała wówczas o pozwolenie na podróż do Lourdes. Lekarze się zgodzili, nie mając zresztą nadziei na to, że przetrzyma ona podróż. Carrel bacznie ją obserwował w drodze, badał, podawał odpowiednie, uśmierzające ból (straszliwy!) lekarstwa.

Gdy dojechano do Lourdes, Carrel — poza krótkimi kontaktami z lekarzami miejscowymi i przybyłymi — prawie że jej nie odstępował. Rozmowy lekarskie dotyczyły chorób i uzdrowień. W tym kontekście Carrel przedstawił jednemu z kolegów przypadek Marii, wyrażając głęboką, uzasadnioną obawę, że ona „umrze mi na rękach” i dopowiadając: „Gdyby ta dziewczyna wyzdrowiała, byłby to prawdziwy cud. Uwierzyłbym wtedy we wszystko i zostałbym mnichem”¹². Przed zawiezieniem chorych przed Grotę, Carrel przebadał ich jeszcze w przeświadczeniu, że tutaj, w Lourdes, nikt niczego od niego nie oczekuje: „Wszyscy liczą tylko na Najświętszą Pannę”¹³. Zatrzymał się dłużej przy Marii: jej stan był beznadziejny. Bardzo dokładnie ją przebadał, dał zastrzyk przeciwbólowy, a stojącemu obok koledze oświadczył, że los chorej jest już przesądzony. Na pytanie pielęgniarki: czy można ją zawieźć do Źródła, odpowiedział pytaniem: „A jeśli wam umrze w drodze?”. Zasięgnął zdania innego lekarza specjalisty. Ten po zbadaniu chorej oświadczył: „To już agonia. Może umrzeć przed Grotą”. Argument pielęgniarki był jednak nie do odparcia: przecież po to tutaj przyjechała! byłoby prawdziwym okrucieństwem odmówić jej tego szczęścia! Carrel uświadomił

¹⁰ Tamże.

¹¹ Tamże, s. 74.

¹² Tamże, s. 78.

¹³ Tamże, s. 80.

sobie wtedy, że też po to tu przyjechał. Zachęcił więc kolegę do towarzyszenia chorej: „Zobaczmy, czy spełni się «nieprawdopodobny cud przywrócenia do życia umarłej». A nuż będziemy świadkami takiego cudu”. Ale cicho do ucha mu szepnął: „Jeśli ta dziewczyna wyzdrowieje, uwierzę w cuda”¹⁴.

Przed Grotą uderzył go, lekarza, widok tylu tak ciężko chorych ludzi. Czy każdy z nich liczy na cud? Przenika go do głębi atmosfera modlitwy: sam zaczyna błagać Maryję o zdrowie dla „swej” chorej. Pielęgniarki zawiozły właśnie Marię Ferrand do Źródła, ale nie zanurzyły w nim chorej, tylko natarły ją wodą ze Źródła i umieściły ją przed Grotą. Było to między godziną 14.30 a 14.40: Carrel zapisuje w swym notesie, dokładnie dostrzeżone teraz zmiany u chorej. W pewnym momencie stwierdza: „Ja chyba oszaleję”. Zaczyna badać chorą na miejscu, przy Grocie, rozmawia z nią; stwierdza oszalamiające wprost zmiany organiczne — na lepsze: ani śladu choroby. Mówi o tym pielęgniarce, która — ku jego zdumieniu — traktuje ten fakt jako coś zupełnie normalnego. Około godziny 16.00 z jakimś wewnętrznym przekonaniem, że „stał się cud!”, udaje się pośpiesznie do Biura Stwierdzeń Lekarskich. Omawia tam wszystko z jego kierownikiem, dr Boissarie; prosi go o badania. Następnie wraca do Marii i sam przeprowadza ponowne, bardzo dokładne badania chorej, w wyniku których odnotowuje: „Uzdrowienie było zupełne. Chora, bliska śmierci, zsiniała na twarzy, z brzuchem wzdętym, o zamierającym sercu, przeobraziła się w ciągu kilku godzin w dziewczynę niemal zupełnie zdrową, jeszcze tylko wychudzoną i osłabioną”¹⁵. A jakiś głos wewnętrzny mu mówi: „Jest bezspornym faktem, że ta dziewczyna jest całkowicie uzdrowiona... Nigdy w życiu nie widziałem nic równie niezwykłego... To jest cud, wielki cud, który budzi entuzjazm tłumów i przyciąga je nieodparcie do Lourdes... Tak więc jestem wplątany w historię cudów. Niech i tak będzie. Bez względu na wszystko, doprowadzę sprawę do końca...”¹⁶. Następują potem wnikliwe badania komisyjne, przeprowadzane przez wielu lekarzy, w wyniku których Carrel jeszcze raz powtarza: „Tak to naprawdę cud, jeśli tylko nie omyliłem się w diagnozie”¹⁷. I komentuje: „W takim razie nie pozostawało mu nic innego jak tylko uwierzyć, że to był cud. Bo chyba to był cud. Trzeba będzie poczekać rok lub dwa lata”¹⁸. Jako naukowiec, nie jest łatwowierny. Musi całe to wydarzenie przemyśleć, przeanalizować, ponownie po latach (a przyjeżdżać będzie potem

14 Tamże, s. 84.

15 Tamże, s. 102.

18 Tamże, s. 105—106.

16 Tamże, s. 102—104.

17 Tamże, s. 105.

do Lourdes kilkakrotnie) przebadać. Przed opuszczeniem chorej — uzdrowionej zadaje jej jedno pytanie: co zrobi teraz ze sobą? Odpowiedź jest niesłychanie prosta, a tak wiele mówiąca: „Udam się do klasztoru św. Wincentego à Paulo, gdzie zakonnice przyjmą mnie do swego grona i będę pielęgnować chorych”¹⁹. Jeszcze przed paru godzinami to on się zaklinał, że gdy Maria wyzdrowieje, on sam uwierzy i stanie się mnichem. Tymczasem role się zmieniają: ona przyjmuje z wiarą i z niewymowną wdzięcznością wszystko, co ją spotkało, zamierza wstąpić do zakonu, aby posługiwać chorym; a on? On udaje się wieczorem w stronę Groty, przeładowany nadmiarem upornych myśli: mógłby przecież zdecydować się — mimo olbrzymiego ryzyka — na zoperowanie chorej, wyciąłby z niej jakiś zepsuty organ, i co by to wszystko dało? Gdyby nawet operacja się udała, ile czasu musiałyby trwać rekonwalescencja? a przecież i tak chora byłaby w jakiejś mierze kaleką! Tymczasem tutaj dokonało się nagle, całkowite wyzdrowienie całego, wyniszczzonego chorobami organizmu!

Carrel rozmawia jeszcze z kilku kolegami lekarzami. Jeden z nich, nawiązując do wcześniejszej rozmowy, żartuje z niego: „nie ulega wątpliwości, że będziesz musiał przywdziać habit”²⁰. Carrela zaś, gdy zostaje sam, nurtuje myśl: dlaczego tak wielu lekarzy, będących świadkami jakiegoś cudu (a zdarza się ich tutaj tak wiele!), zatrzymuje się niejako w połowie drogi? dlaczego wielu innych zbywa całą sprawę milczeniem? Zachowują się tak, jak gdyby nic niezwykłego nie dokonało się na ich oczach! Spoglądając z kolei we własne wnętrze stwierdza: „Byłem początkowo dobrym katolikiem, potem stałem się stoikiem; jeszcze później wyznawałem Kanta, aż wreszcie popadłem w absolutny sceptycyzm i dyletantyzm. Stawałem się coraz bardziej nieszczęśliwy. A jednak katolicyzm, którego niestety nie umiałem zrozumieć, dał mi najwięcej wewnętrznego zadowolenia”²¹. I przychodzi mu na myśl odwrotność wypowiedzianej jeszcze w południe tezy: „Nie ma żadnego dowodu, że Bóg nie istnieje i że Najświętsza Panna jest tylko tworem naszej wyobraźni... Niezaprzeczalnie stał się cud, gdyż to, co się stało, było wielkim cudem. Jaka była istota tego cudu? Zobaczymy to później, ale narazie mamy uzdrowienie”²². Mimowolnie wchodzi do kościoła wypełnionego po brzegi pielgrzymami-Baskami, siada na krześle i zaczyna się modlić: „O Panno Słodka, ucieczko nieszczęśliwych, ślących w pokorze swe błagania, strzeż mnie! Wierzę w Ciebie. Na zwątpienie moje

¹⁹ Tamże, s. 106.

²⁰ Tamże, s. 114.

²¹ Tamże, s. 119.

²² Tamże, s. 118—119.

raczyłaś odpowiedzieć cudem niezwykłym. Nie umiem go pojąć i wyzbyć się zwątpienia. Ale najgorętszym moim pragnieniem, najwyższym celem wszystkich moich dążeń jest wiara, wiara niezachwiana, ślepa, niedopuszczająca żadnej dyskusji, żadnej krytyki. — Imię Twoje pełniejsze jest słodczy niż promienie porannego słońca. Przyjm grzesznika nieznanego ukojenia, z sercem trwożliwym, ze zmarszczonym czołem, znękanego pogonią za błędnymi światłami. Pod twardą powłoką mojej pychy intelektualnej żyje, choć niestety ciągle jeszcze tłumiony, sen najpiękniejszy ze wszystkich snów — by wierzyć w Ciebie i kochać Cię tak, jak kochają Cię zakonnicy o duszy nieskazitelnej”²³.

Trudno powiedzieć, czy i na ile Carrel, na którego — jak sam stwierdza — „jak gdyby na własnych rękach” dokonał się cud, zmienił się wewnętrznie po tym wydarzeniu. Faktem jest, że przeglądając w Lourdes rejestry, natknął się na nazwiska wielu swych kolegów, a nawet przyjaciół lekarzy, którzy udawali wciąż, że nie wiedzą o niczym, lękając się, by ich „nie uważano za klerykałów albo za głupców”²⁴. Z wielkim bólem więc odnotował: „Moi koledzy uparcie milczą i trwają w zupełnej obojętności. A przecież całe komisje powinny tu zjeżdżać, by za wszelką cenę rzucić światło na zjawiska zachodzące w Lourdes”²⁵. Uznał też za swój podstawowy obowiązek stwierdzić, iż uzdrowienia w Lourdes są naprawdę zdumiewające. Po powrocie z pielgrzymki podnosił więc ten problem wciąż na nowo, co wywoływało jedynie niezadowolenie i wzrastającą wciąż niechęć do niego i co zmusiło go niebawem do opuszczenia Francji. Biografowie nie potrafią jednak jednoznacznie stwierdzić, czy stał się człowiekiem wierzącym, a jeżeli tak, to w jakiej mierze²⁶.

Zgoła odmiennie przedstawia się pewne wydarzenie z Polski, które ze względu na jego analogię z powyższym pragnę obecnie przytoczyć. Zreferował mi je pośredni jego uczestnik, ówczesny prowincjał OO. Karmelitów, śp. o. Albert Urbański. W uroczystość Bożego Narodzenia 1955 r. zgłosił się do zakrystii kościoła OO. Karmelitów w Krakowie jeden z profesorów UJ (nazwisko świadomie pomijam), mówiąc, że przeżył cud, był jego naocznym świadkiem i dlatego stał się z niewierzącego człowiekiem wie-

²³ Tamże, s. 120.

²⁴ Tamże, s. 116.

²⁵ Tamże, s. 112.

²⁶ Por. np. G. Siegmund, *Alexis Carrel als Zeuge für Lourdes*, *Stimmen der Zeit* 148 (1951) 270—277; D. Mondrone, *Interiorità di Alexis Carrel*, *La Civiltà Cattolica* 107 (1956) 634—644; A. Bessières, *Le voyageur de Lourdes, Alexis Carrel*, w: *Convertis du XX-e siècle*, t. I (red. F. Lellotte), Tournai 1953, s. 167—182.

rzącym: chciał jak najszybciej włączyć się w życie religijne parafii. A ponieważ było to rano, ok. godz. 9.00, zaprowadzono go do prezbiterium, dano mu do rąk jakąś książeczkę, ażeby uczestniczył we Mszy św. Po południu tego samego dnia, na usilne prośby zainteresowanego, o. Urbański udał się do jego mieszkania, by przekonać się naocznie o zaistniałym „cudzie”. Sytuacja przedstawiała się następująco:

W nocy z 23 na 24 grudnia zmarła matka profesora, osoba głęboko wierząca. W dniu wigilijnym udało się załatwić niektóre formalności pogrzebowe, zakupić trumnę, umieścić w niej ciało zmarłej. Opóźniło to wszystko wieczerę wigilijną, którą żona przygotowała w pokoju przylegającym do tego, w którym znajdowała się otwarta trumna ze zwłokami. Chcąc przyśpieszyć wieczerę, żona pierwsza podeszła do profesora z opłatkiem, aby mu złożyć życzenia — także w imieniu obecnej, ale i nieobecnej (bo leżącej już w trumnie) matki. Profesor przyrodnik się zachnął: mojej matki już nie ma! Żona starała się go pocieszyć i jakoś mu wytłumaczyć, że jest. Ale on uparcie powtarzał, że jej nie ma, a obok są tylko jej szczątki, zwłoki. I w tym właśnie momencie zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych. Stojący najbliżej nich profesor odruchowo je otworzył. Ale nie dostrzegł nikogo. Przeniknęła go natychmiast nachalna myśl: moja matka zadzwoniła do mnie! Wybiegł na klatkę schodową, spenetrował ją dokładnie kilka razy: nie było nikogo. Uporczywa myśl nie dawała mu spokoju: matka dała mi znak, że żyje! a więc — wbrew moim naukowym pewnikom — życie nie kończy się ze śmiercią! Trzeba jednak tę sprawę zweryfikować, zbadać dokładnie. Zaczął — zamiast spożywać wieczerę — telefonować do swoich kolegów, profesorów fizyków. Nalegał usilnie, by ktoś z nich przyszedł, zbadał dokładnie urządzenia dzwonka; chodziło mu o jedno: czy dzwonek mógł sam, na skutek jakichś impulsów, fal elektromagnetycznych itp., zadzwonić, czy nie? Sytuacja była dziwna. Trudno powiedzieć, co myśleli w takim dniu i o tej porze indagowani przez niego koledzy. Ale któryś z nich przyszedł, zbadał wszystkie urządzenia dokładnie. Jego osąd był jednoznaczny: dzwonek nie mógł sam zadzwonić. To wystarczyło profesorowi jako potwierdzenie jego osobistej diagnozy: moja matka zadzwoniła do mnie! Uznał fakt za cudowny i stał się nagle człowiekiem wierzącym (przynajmniej uznał się za takiego). Jeśli jednak późniejsze informacje o. Urbańskiego przyjąć za wiarygodne, to należałoby chyba widzieć w profesorze bardzo gorliwego neofitę: stosunek do wiary (wiara — niewiara) stał się ponoć kryterium zasadniczym w dalszym dobieraniu przez niego swoich współpracowników.

Celowo zestawiam ze sobą te dwa „wydarzenia”; w obu bo-

wiem przypadkach mamy przed sobą ludzi tego samego niemal pokroju: dobrych i rzetelnych naukowców, nastawionych sceptycznie do wiary (niewierzących?), reprezentujących bliskie sobie dziedziny wiedzy. W przypadku Carrela jednak obiektywne, badane i stwierdzone przez wielu (i przez niego samego) wydarzenie, które on sam nazywa nie bez pewnych oporów cudem, nie jest w stanie pokonać całkowicie jego trudności wewnętrznych: choć wstrząśnięty dogłębnie i uwrażliwiony na całe chyba życie na fakt cudów, Carrel pozostaje nadal sobą. W wydarzeniu krakowskim trudno byłoby natomiast dopatrywać się czegoś niezwykłego — jakiegokolwiek cudu faktycznego, a przecież w swych skutkach i w całkowicie subiektywnym rozpoznaniu zainteresowanego było ono czymś więcej, aniżeli jakimś tam cudem opisywanym w książkach. Krótko mówiąc i upraszczając nieco zagadnienie: jeden przeżył faktyczny cud, a nie uwierzył (choć, być może jednak trochę uwierzył?), drugi zaś uwierzył, choć wydarzyło się coś, co tylko on sam mógł (!?) uznać za cudowne.

Problem interpretacji

Wspomniane wyżej fakty i wydarzenia wymagają właściwej interpretacji. Czy jest ona jednak możliwa? Tak wiele różnorodnych czynników wchodzi tutaj przecież w rachubę. W pierwszym rzędzie wiele zależy od podejścia i od samej definicji cudu. Inaczej bowiem będzie patrzył na cud ten, kto opierając się na myśli starożytnej, której klasycznym wyrazicielem stał się św. Augustyn, będzie w nim widział coś niezwykłego, fakt, który wywołuje zdumienie. Znamienna w tym względzie jest wypowiedź samego św. Augustyna, zawarta w jego komentarzu do relacji Ewangelisty o cudownym rozmnożeniu chleba przez Jezusa. Biskup Hippony stwierdza mianowicie, iż „większym cudem jest zarządzanie całym wszechświatem niż nasycenie pięciu tysięcy ludzi pięcioma chlebami: a przecież tamtym nikt się nie dziwi; tutaj natomiast dziwią się ludzie, nie dlatego, że jest to coś większego, ale dlatego, że zdarza się rzadko. Któż bowiem i obecnie żywi cały świat, jeśli nie Ten, który małe ziarna przemienia w nasiona...”²⁷ Zasadnicze w tym ujęciu jest zdumienie człowieka, wywołane jakimś faktem niezwykłym, działanym przez Boga. Bóg jest wszechobecny: działa wszędzie i wszystkim kieruje. Ale ludzie, przyzwyczajeni do takiego stanu rzeczy, nie dziwią się temu. Dopiero wtedy, gdy coś ich rzeczywiście zaskoczy i wywoła w nich zdziwienie, zaczynają mówić o cudzie — zresztą zgodnie z samą

²⁷ In Joam. XXIV, 1.

etymologią tego pojęcia (łacińskie: *miror, mirari, miraculum*, oznaczają właśnie zdziwienie — cud) — jako o znaku działania Bożego.

Inne spojrzenie na cud, rozpowszechnione zresztą w Kościele od czasów Średniowiecza, ma z kolei ten, kto podąża w tym względzie za myślą św. Tomasza z Akwinu. Zmienia się tu bowiem znacznie obraz relacji Boga do świata: Bóg nie ingeruje bezpośrednio — jak to było w koncepcji św. Augustyna — w wydarzenia ziemskie lecz pozostawiając światu pewną autonomię kieruje nim za pomocą przyczyn wtórnych. Cudem — w tej koncepcji — jest więc bezpośrednio wkroczenie Boga w rzeczywistość doczesną, poza porządkiem (całej natury, ściślej zaś rzecz biorąc, jakiś fakt niezwykle, dostrzegalny zmysłami i boski²⁸. Ze względu na prawa, jakie narusza, cud może być: fizyczny (uzdrowienie, rozmnożenie chleba), intelektualny (proroctwo, poznawanie myśli ukrytych) lub moralny (nagle nawrócenie, jak św. Pawła). Ze względu zaś na naturę, w którą wkracza, teologowie w ślad za św. Tomaszem²⁹ wyróżniali trzy inne możliwości: cud pozanaturalny czyli działy obok natury (*praeter naturam*), jak np. szybkie wyzdrowienie bez użycia leków, cud ponadnaturalny czyli przewyższający wszystkie siły natury (*supra naturam*), jak np. wskrzeszenie umarłego, oraz cud przeciwny naturze (*contra naturam*), czego przykładem mogą być trzej młodzieńcy biblijni, przechadzający się w rozpalonym piecu. Znika w tej koncepcji myśl o cudzie jako znaku (rzeczywistości nadprzyrodzonej) oraz naturalne dawniej powiązanie go ze zdziwieniem (zdumieniem).

Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach daje się zauważyć powrót do patrystyki i związane z tym ściśle mocne wyeksponowanie religijnej funkcji cudu. Co więcej, nie traktuje się już cudu — jak to czyniła klasyczna apologetyka — jako znaku-dowodu potwierdzającego prawdę Objawienia, ale uważa się go za integralną część samego Objawienia. Cud przestaje być tym samym dodatkiem, czymś stojącym zewnątrz Objawienia, a staje się sam objawieniem. To wszystko natomiast rzutuje na sposób rozpoznawania w danym fakcie cudu jako znaku Bożego.

Skoro nie tylko księgi Pisma św., ale także całe dzieje Kościoła obfitują w wydarzenia niezwykle, których sprawcą mógł być w niejednym przypadku wyłącznie Bóg, problem rozpoznania tych wydarzeń i uznania ich za cudowne nie mógł być obcy, ani obo-

²⁸ *Summa Theol.* I, q. 105, a. 7 i q. 110, a. 4.

²⁹ Tamże, q. 105, a. 6-8; *Contra Gent.*, I, III, c. 100-102. Por. Ad. Tanquerey, *Synopsis Theologiae dogmaticae fundamentalis*, Parisiis — Tor-naci — Romae 1949²⁶, s. 182 nn.

jętny dla Kościoła. Występowały tu jednak i nadal są aktualne dwie możliwości: rozpoznanie religijne oraz tzw. naukowe. Pierwsze dotyczy i bywa przeważnie udziałem osób, które doznały czegoś niezwykłego. Reagują one spontanicznie, odruchowo, nie analizując na ogół głębiej poszczególnych etapów wydarzenia. Sam fakt w pełni im wystarcza. Oto bowiem ktoś był chory, ślepy, kulawy, niemy i nagle spłynęła na niego niewysłowiona łaska, doświadczył na sobie ogromu miłosierdzia Bożego: żyje, jest zdrowy, słyszy, widzi, chodzi. Tak było z tymi, których uzdrawiał Jezus; — świadczą o tym wymownie opisy Ewangelii. Tak działo się też zawsze, w Kościele, gdy tylko ludzie doznawali na sobie skutków przemożnego działania Bożej łaskowości. Taka była, w gruncie rzeczy, reakcja Marii Ferrand, którą bacznie obserwował A. Carrel, taka też była (rzecz znamienita!) postawa profesora z Krakowa po doznanym wstrząsie. Ale właśnie dlatego, choć nie wyłącznie, Kościół musi być ostrożny i rozważny w uznawaniu jakichś faktów za cudowne. Poszczególne jednostki mogą mieć swoje zdanie; objawiła się im w sposób niezwykle dobroć i wszechmoc Boga, a nawet choćby i to, że Bóg istnieje — jak miało to nie tak dawno miejsce w życiu A. Frossarda, którego książka, opisująca to wydarzenie³⁰, stała się natychmiast bestsellerem; i to im w pełni wystarcza: mogą subiektywnie mówić o cudzie, jaki stał się ich udziałem. Kościół jednak jako całość musi zachować, choćby ze względu na swą misję i swe zadanie w świecie, określony dystans; nie może być w żadnym przypadku łatwowierny, ani też naiwny. Nie podważa więc, ani nie neguje tych subiektywnych przekonań, sam jednak woli milczeć. Kiedy zaś musi zabrać głos, stara się dane wydarzenie przebadać gruntownie i naukowo.

Dochodzimy w ten sposób do drugiego, tzw. naukowego rozpoznania cudu, które bywa niekiedy potrzebne, a nawet zgoła niezbędne. Wystarczy wspomnieć w tym miejscu o beatyfikacjach czy kanonizacjach osób uznawanych przez wielu za święte. Pragnąc się upewnić o ich rzeczywistej świętości, Kościół obok szeregu różnorodnych badań (jakości życia, pism, itd.) żądał dotychczas dwóch, a obecnie jednego przynajmniej cudu przed beatyfikacją i przed kanonizacją; wychodził przy tym z takiego mniej więcej założenia: jeżeli dana osoba żyła świętobliwie, była już za życia (ziemskiego) miłą Bogu i jest teraz (w wieczności) blisko Niego, to nic nie stoi na przeszkodzie, by sam Bóg poświadczył jej świętość, to, że ją miłuje i pragnie jej czci na ziemi; niech więc za jej przyczyną dokona jakiegoś znaku niezwykłego — cudu uzdrowienia, wskrzeszenia umarłego, lub innego. Podobnie

³⁰ Por. A. Frossard, *Spotkałem Boga*, Paris 1971.

rzecz się przedstawia w przypadku pewnych wydarzeń niezwykle, do jakich zaliczyć należy objawienia Matki Bożej — w Lourdes, Fatimie, La Salette i tylu innych miejscach ziemi: jeżeli Maryja, z woli Boga, faktycznie się ukazuje wybranym przez siebie osobom, niech uwierzytelnili ten fakt za pomocą znaków niezwykle, które po gruntownym zbadaniu będzie można uznać za rzeczywiście cudowne.

Mając te i tym podobne racje na względzie, już papież Benedykt XIV podał w swym obszernym dziele³¹ zasady, jakimi należy się kierować przy rozpoznawaniu cudów jako takich celem wykluczenia wszelkich, ewentualnych pomyłek. Papież bardzo rygorystycznie odniósł się do wszelkich wydarzeń mogących mieć pozory cudowności, oczyszczając poniekąd z góry przedpole dla rozpoznawania cudów prawdziwych. Aktualne pozostały więc niemal po dzień dzisiejszy, mimo zmieniającej się wciąż terminologii, a zwłaszcza wielkich postępów medycyny, podane przez niego wytyczne dotyczące cudownych uzdrowień. Aby móc uznać jakieś uzdrowienie za działane przez Boga (a więc za cud), muszą zespalać się w nim wszystkie, postawione przez papieża warunki w liczbie siedmiu: 1) choroba winna być ciężka, niebezpieczna, zastarzała, 2) nie może to być jednak ostatnie jej stadium, po którym mogłoby nastąpić naturalne polepszenie, 3) nie stosowano żadnych lekarstw, a jeżeli tak, to należy udowodnić, że ich działanie nie miało wpływu na polepszenie zdrowia, 4) uzdrowienie winno być nagłe, 5) i całkowite, 6) ale nie może nastąpić po przesileniu choroby, dającym naturalne szanse powrotu do zdrowia, 7) choroba nie powinna powrócić, a jeżeli powróci, to nie nazbyt szybko³². Stwierdzenie, po wielu żmudnych badaniach, że wszystkie te warunki sprawdzają się w danym, określonym przypadku, pozwala wnioskować o zaistnieniu cudu. Ale czy same przez się one już wystarczają?

Apologetyka tradycyjna, rozpatrując tzw. naukowe rozpoznanie cudu, mówiła zazwyczaj o czterech kolejnych etapach, w których rozchodziło się o rzetelne przebadanie: a) prawdy historycznej danego wydarzenia, b) jego prawdy (wymowy) filozoficznej, c) prawdy teologicznej i d) prawdy apologetycznej. Mówiąc innymi słowami, należało przede wszystkim zapoznać się i przebadać gruntownie — idąc w tym względzie m. in. także za wskazaniem papieża Benedykta XIV — samo wydarzenie (cudowne?) jako

³¹ *De servorum Dei beatificatione et beatorum canonisatione*, t. I-IV, Bologna 1734—1738.

³² Por. J. M. A. Vacant, *Cuda*, w: *Słownik Apologetyczny Wiary Katolickiej podług dra J. Jaugey'a* (opr. ks. W. Szcześniak), t. I, Warszawa 1894, s. 288—339, zwł. s. 312 n; ks. E. Kopeć, *Apologetyka*, Lublin 1974, s. 90.

zaistniały, konkretny fakt historyczny, a więc jego przebieg, świadków, ich wiarygodność, itd. Dopiero następnie, na drugim etapie (tzw. prawda filozoficzna) można było postawić pytanie o racje, powody tego zjawiska; za wystarczającą uznawano przy tym odpowiedź negatywną: niemożliwość jego wyjaśnienia za pomocą znanych praw natury. To z kolei pozwalało przenieść się na płaszczyznę teologiczną i zapytać o związek danego wydarzenia z Bogiem — o tzw. kontekst religijny rozpoznawanego faktu. Odpowiedź pozytywna pozwalała przenieść cały ciężar refleksji o krok dalej, aby zastanowić się nad prawdą apologetyczną: nad rangą i znaczeniem faktu uznawanego już teraz za cudowny.

W ostatnich dziesięcioleciach, pod wpływem L. Mondena³³ i innych, zmieniła się postawa apologetyków w tej kwestii. Dostrzeżono bowiem, iż każdy, kto się posługiwał naszkicowaną powyżej metodą, musiał z konieczności chodzić po nie swoich podwórkach: być poniekąd równocześnie historykiem, filozofem, teologiem... — chyba że był kimś, kto potrafił zebrać w jedno wyniki i owoce prac oraz ustaleń fachowców z tamtych dziedzin. Zdecydowano się zatem na pewne zweryfikowanie metody i zredukowanie poszczególnych etapów do trzech zasadniczych: 1) weryfikacji faktograficznej (dawna prawda historyczna), 2) weryfikacji filozoficznej (dotychczasowa prawda filozoficzna, chociaż bardziej pogłębiona i nieco inaczej ujęta), oraz 3) weryfikacji teologicznej, w której istotne jest stwierdzenie religijnych powiązań (religijnego kontekstu) danego zjawiska i ekskluzywności tych powiązań (a więc tego, iż poza kontekstem religijnym takie zjawisko się nie zdarza)³⁴.

Jak już stwierdzono powyżej, rozpoznanie tego typu jest konieczne ze względu na motywacyjny wymiar cudu. Jeżeli bowiem dany, konkretny cud ma coś potwierdzać, musi być najpierw rozpoznany jako taki. Mówiąc zaś bardziej konkretnie: jeżeli Kościół wymaga od kandydatów na ołtarze (osób, o których beatyfikację lub kanonizację zabiegają wierni) potwierdzenia ich faktycznej, osiągniętej w życiu ziemskim świętości i doskonałości określonym faktem cudownym (cudem), to każdy z takich faktów, o ile tylko zaistnieje i zostanie przedstawiony władzom kościelnym, musi być gruntownie przebadany i zweryfikowany; dopiero wówczas, gdy zostanie oficjalnie przez Kościół uznany, zyskuje rangę motywacyjną, jakiej się po nim spodziewano.

³³ Por. L. Monden, *Le miracle signe de salut*, Bruges 1960.

³⁴ Por. ks. E. Kopeć, *Problematyka cudu w apologetyce współczesnej*, w: *Pod tchnieniem Ducha Świętego. Współczesna myśl teologiczna* (red. ks. M. Finke), Poznań 1964, s. 267-282, zwł. s. 277 nn; tenże, *Cud — w teologii*, w: *Encyklopedia Katolicka*, t. III, Lublin 1979, kol. 654 nn.

I jeszcze jedno, chyba godne uwagi, spostrzeżenie. Choć papiież Benedykt XIV podał niezwykle drobiazgowo i precyzyjne zalecenia, dotyczące rozpoznania cudu jako takiego, już na wiele lat przed Rewolucją Francuską, pojawiły się ponad 100 lat później dość liczne głosy wywodzące się z kręgów myśli pozytywistycznej (czy racjonalistycznej) końca XIX w., domagające się takiej weryfikacji zjawisk cudownych, jaka jest typowa dla nauk przyrodniczych. Żądano więc wówczas powtórzenia (wielokrotnego!) faktu cudownego wobec nowych świadków celem umożliwienia bardziej wszechstronnego jego przebadania: miał to być nieodzowny warunek uznania cudu za cud! Ale nie uświadamiano sobie chyba (w tych właśnie kręgach) tego, iż takie żądanie uwłacza Bogu i godzi boleśnie w samego człowieka. Mówiąc bardziej konkretnie: ludzie typu E. Renana uznaliby (przynajmniej tak twierdzili!) dane wydarzenie za cud, gdyby kilkakrotnie je powtórzono w warunkach laboratoryjnych; a więc człowiek, któremu zrosła się nagle złamana ręka czy noga, musiałby być narażony na ponowne jej łamanie i na oczekiwanie nowej łaski od Boga! Człowiek, który nagle wyzdrowiał, musiałby ponownie zachorować na tę samą chorobę (ale jak?); Maria Ferrand musiałaby — po swym wyzdrowieniu w Lourdes — stać się chorą na gruźlicze zapalenie otrzewnej, itd. Czyż w imię rzekomej wiedzy i nauki ludzie ci, stawiający tak nierozważne i ślepe wprost żądania, nie podcinali — jak to im wytykano — gałęzi, na której siedzą?

Cud jest w gruncie rzeczy, niemożliwością umożliwiającą i zrealizowaną: „nie ma nic niemożliwego u Boga!”. Jest też faktem niezwykle, zaskakującym, budzącym wielkie niekiedy zdumienie. Jest wreszcie znakiem i objawieniem dobroci, potęgi, miłości, wszechobecności Boga, który szanuje w pełni wolność ludzką: nikogo nie zniewala, nie zmusza, a jeżeli nawet wewnętrznie i całkowicie przemienia (jak św. Pawła, A. Frossarda i tylu innych), to czyni to tak, że sam człowiek czuje się wewnętrznie przemieniony i jeszcze bardziej wolny.

Ewangelie mówią wyraźnie o tym, że Jezus czynił dobrze ludziom. Wiele z tych Jego czynów — jak świadczą o tym Ewangelisci — miało charakter znaków-cudów: potwierdzały one, przynajmniej docelowo, Jego misję. Reakcje widzów, słuchaczy, odbiorców bywały oczywiście różne: jedni przyjmowali je z uznaniem, podziwem, wdzięcznością, inni zachowywali się obojętnie, może nawet sceptycznie, jeszcze inni — wrogo. Cud bowiem nigdy nie narusza ludzkiej wolności, co więcej, daje człowiekowi swoistą i jedyną w swoim rodzaju szansę wolnego wyboru.